

My, prezydent Polski...

Myślałem do niedawna, że nie ma już nic bardziej podłego od hieny cmentarnej, która kradnie kwiaty z czyjegoś grobu, aby je odsprzedać czy postawić na swoim rodzinnym grobie, by zaoszczędzić. Taką samą odrazę budzą u mnie ludzie niszczący cmentarne nagrobki, przewracający krzyże, co przypisuje się zwykle pijanej młodocianej hołocie albo satanistom.

Tak sądziłem do chwili, gdy zobaczyłem na „Niezależnej.pl” film nakręcony 10 marca tego roku na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. W miejscu, gdzie stał smoleński krzyż, na wprost pałacu prezydenckiego, mieszkańcy Warszawy ułożyli tego wieczoru znicze na kształt powstańczej kotwicy, symbolu Polski Walczącej. Ktoś zadbał nawet, aby biało-czerwone lampiony układały się w barwy narodowe. Wyglądało to bardzo ładnie aż do momentu pojawienia się miejskiej straży porządkowej. To, co zobaczyłem, wręcz sparaliżowało mnie. Widok ten mam stale przed oczyma, a widzę, jak strażnik bierze pałacy się znicz, podnosi do ust, aby zdmuchnąć płomień, po czym oddaje koledze, który chowa lampion do czarnego worka na śmieci. I tak po kolei, w szybkim tempie ów porządkowy gasi znicz za zniczem, a do worka trafiają też kwiaty, wieńce oraz zdjęcia prezydenckiej pary Marii i Lecha Kaczyńskich. Zgromadzeni ludzie próbują oponować, proszą sprzątaczy, aby dali sobie spokój z tą haniebną robotą. Daremnie. Odpowiadają, że to tylko śmieci, które trzeba uprzątnąć, bo takie mają polecenie. Za chwilę symbol Polski Walczącej przestaje przypominać

kotwicę, znika charakterystyczne „P”, gaśnie w końcu chodnikowy obraz-symbol ułożony w hołdzie ofiarom tragedii smoleńskiej równo w 11 miesięcy po katastrofie.

Zrobiło się o tym głośno. Napisały niektóre gazety, portale internetowe. Prezes PiS Jarosław Kaczyński zapytał publicznie Donalda Tuska, jak by zareagował, gdyby zdjęcie jego matki czy ojczyzna wyrzucił ktoś na śmietnik. Zaprotestował Akademicki Klub Obywatelski im. Lecha Kaczyńskiego w Poznaniu. Przywołał wydarzenia z czasów zaborów, kiedy to carscy urzędnicy karali osoby, które swoim strojem manifestowały żałobę. Przypomniano stan wojenny i krzyż z lampek i kwiatów stawiany tuż obok kościoła Akademickiego Św. Anny. Ale Milicja Obywatelska, co warto pamiętać, likwidowała tamten krzyż nocą, kiedy nie było już ludzi. To o tamtym krzyżu („nielegalne kwiaty, zakazany krzyż”), śpiewał Jan Pietrzak.

Autorzy protestów, oburzeni publicyści, pytają, (jakby nie wiedzieli), kto za to odpowiada. Odpowiem. Otóż od strony formalno-prawnej za wszystko, co działo się na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie przez ostatnie 11 miesięcy oraz za ostatnią akcję gaszenia palących się tam jeszcze zniczy, odpowiada prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz. Osoba, która, kandydując w 1995 roku na urząd prezydenta RP, napisała w swoim wyborczym dossier, że od 1982 roku jest zaangażowana w Ruch Odnowy w Duchu Świętym (sic!). Udzielając mi wtedy wywiadu mówiła, że „człowiek żyje właściwie po to, żeby uczyć się w życiu kochać, i to jest najważniejsza rzecz”. Z tego

kochania wyrosła Platforma Obywatelska, której wiceprzewodniczącą jest pani prezydent Warszawy. Fatalny początek jej drugiej kadencji będzie się odtąd kojarzył z likwidowaniem palących się jeszcze zniczy sprzed pałacu prezydenckiego. Podobnie jak fatalny początek prezydenckiej kadencji Bronisława Komorowskiego z jego żądaniem usunięcia krzyża spod pałacu.

Znicze, te najbardziej proste symbole pamięci, żałoby i współczucia, pojawiły się także przed ambasadą Japonii w Warszawie, przy ulicy Szwoleżerów 8. Pierwsze zapalono w tym samym dniu, w którym mordercze tsunami pustoszyło północne rejony Japonii. Wówczas ambasador Japonii wywiesił kartkę w języku polskim z serdecznymi podziękowaniami za okazane wyrazy współczucia. Całe szczęście, że znicze te wypaliły się do końca i nie zjawili się z czarnymi workami foliowymi porządkowi z ekipy Hanny Gronkiewicz-Waltz, tak sumienni w utrzymaniu czystości i porządku na Krakowskim Przedmieściu. To oczywiście żart. Nikt by ich tam nie wysyłał. Bo gaszenie zniczy w dniu upamiętniającym śmierć prezydenckiej Marii i Lecha Kaczyńskich jest niczym innym jak gaszeniem pamięci o Nich.

Po kilku dniach (17 marca) w ambasadzie Japonii pojawili się polscy politycy, dopełniając dyplomatycznego zwyczaju, jakim jest wpis do specjalnej kondolencyjnej księgi. Z przykrością trzeba stwierdzić, że wpis prezydenta Bronisława Komorowskiego okazał się kolejnym przykrym zgrzytem. „Jednoczymy się w

imieniu całej Polski z narodem Japonii w bulu i w nadzieji na pokonanie skutków katastrofy”, napisał prezydent. Dwa błędy ortograficzne w jednym tylko zdaniu. Przecież pracownicy japońskiej ambasady dobrze znają język polski. Poza tym, kto się jednoczy w imieniu całej Polski z narodem Japonii? Czy prezydent już jak monarcha, mówiąc o swoim urzędzie, używa liczby pluralis maiestaticus.

Wojciech Reszczyński

Autor jest komentatorem w programie 3 Polskiego Radia S.A.

240Nasza Polska 22.03.2011